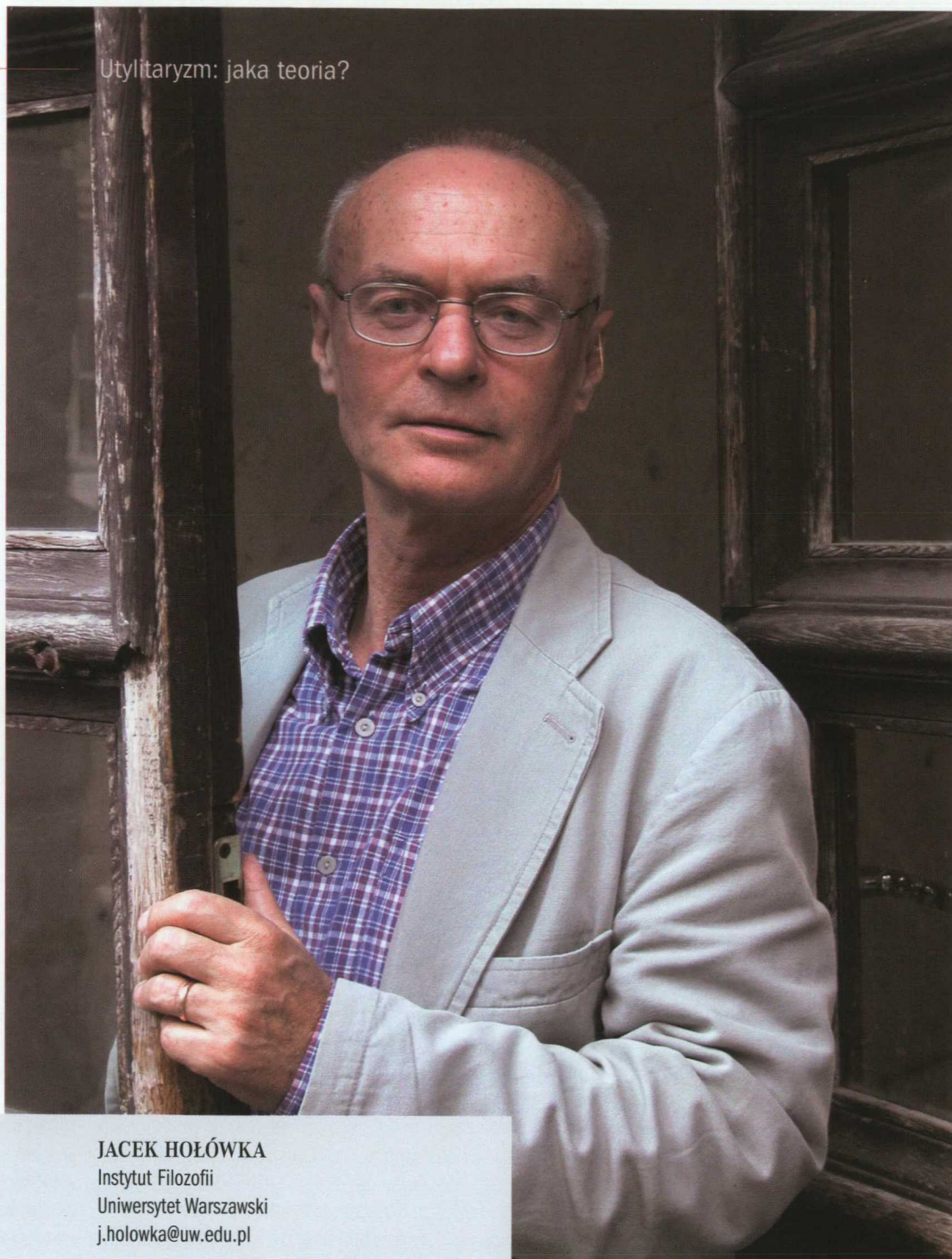


Utylitaryzm: jaka teoria?



Włodzimierz Wasyluk/REPORTER

JACEK HOŁÓWKA
Instytut Filozofii
Uniwersytet Warszawski
j.holowka@uw.edu.pl

Wyrzucimy zgniłe pomarańcze!

O wadach i zaletach utilitaryzmu, polityce według Milla i prognozach dla Polski rozmawiamy z prof. dr. hab. Jackiem Hołowką z Zakładu Filozofii Analitycznej

Academia: Co to jest użyteczność z perspektywy filozoficznej? Czy jest jakaś jej definicja?

Jacek Hołowka: W filozofii użytecznością zajmowali się ci wszyscy uczeni, którzy uważali, że idealizm jest najlepszym rozwiązaniem problemów moralnych. Wśród nich byli m.in. Jeremy Bentham oraz John Stuart Mill, który w moim przekonaniu jest reprezentantem najbardziej wiarygodnej wersji utilitaryzmu. Najprościej utilitaryzm to teoria etyczna, według której je-

dynym dobrem jest użyteczność, a użyteczne jest to, co przyczynia się do szczęścia jak największej liczby ludzi. Z tego wynika, że jeśli mam przed sobą kilka dróg postępowania, powinienem zastanowić się, kto odczuje skutki, wziąć pod uwagę wszystkie następstwa i porównywać rozmaite opcje. Ta droga, która obiecuje najwyższe szczęście największej liczby ludzi, ma przeze mnie – jako utylitarystę – zostać uznana za najlepszą. Czyli ostatecznym kryterium wartości jest maksymalizacja szczęścia.

Moje osobiste przekonania są zaś następujące: utylitaryzm jest świetną teorią polityczną, ale koszmarną teorią z zakresu filozofii i moralności.

Polityczną – dlaczego?

Ponieważ oczyszcza działalność wspólnoty od ideologii. Jest teorią, która nie podlega naiwnym obrazom świetlanej przyszłości. Nie godzi się na wybór jednego wyraźnego celu, takiego jak industrializacja, który miał być realizowany przez 15 czy 20 lat. Nie twierdzi, że istnieje jakaś wyróżniona klasa albo partia polityczna, która wie, jak można skonstruować przyszłość. Mówi: bądźmy w żywym kontakcie ze wszystkimi ludźmi i starajmy się zrozumieć, co jest dla nich najlepsze. Mill punktował to bardzo wyraźnie i podkreślał, że podstawą dla dobrze funkcjonującego społeczeństwa jest demokracja. Ale jednocześnie ją kwalifikował i nie był zwolennikiem demokracji bezpośredniej, tylko oświeconej. Odrzucał zasadę, że wybory mają być powszechne, równe, bezpośrednie. Na przykład według niego każdy, kto skończył wyższe studia, dostawałby drugi głos. Każdy, kto zatrudnia co najmniej 10 osób, dostawałby następny. Kto jest rozpoznawalną osobą publiczną – kolejny. I każdy, któremu wyborcy zechcą przypisać dodatkowy głos, ma dodatkowy głos.

Jednych by to wzmacniało, a innych wykluczało.

No cóż, są ludzie, którzy zasługują na zero głosów. Zasada Milla dotyczy również wyborców. On nie był formalistą, ale mówił: kto nie potrafi czytać i pisać, nie ma prawa głosować; kto nie potrafi liczyć, nie ma prawa głosować; kto nie płaci podatków, nie ma prawa głosować; i bankrut nie ma prawa głosować. Zatem tak, to byłyby osoby wykluczone. Jeśli ktoś zbankrutuje, daje dowód, że nie traktuje swoich przedsięwzięć poważnie. Jest więc czymś horrendalnym dać mu prawo, żeby zajmował się sprawami innych ludzi. Jeśli ktoś nie potrafi czytać i liczyć, nie potrafi sam dla siebie zdobyć

źródła informacji i musi się opierać na plotkach, jego poglądy są tylko refleksem tego, co mówią inni. Zatem nie warto mu dawać prawa głosu. Człowiek, który nie płaci podatków, nie przyczynia się do tego, żeby społeczność, w której żyje, lepiej funkcjonowała, wobec tego nie ma powodu do tego, żeby on decydował o jej działaniu. Podstawowe przymioty obecnego systemu głosowania, jak sądzę, są dość propagandowe i odwołują się przede wszystkim do poparcia ze strony osób, które są najmniej kompetentne i najmniej zdadne do tego, żeby wpływać na bieg historii. Człoby się pokrzywdzone, gdyby wprowadzono propozycję Milla, ale nie warto się tym specjalnie przejmować.

Teraz przecież społeczeństwo bardzo silnie podlega rozmaitym siłom manipulatorskim. Nieprzewidywalność efektu wyborczego wydaje się ekscytować. A przecież w takim razie równie dobrze moglibyśmy rzucać kostką do gry i w ten sposób decydować, kto ma nami rządzić. Jeśli np. nie domagamy się od mediów tego, żeby nas szczegółowo informowały o treści programów wyborczych, to w efekcie nie ma żadnych programów. Za skandal uważam to, że obecnie żadna partia polityczna nie zobowiązuje się do zmniejszenia bezrobocia. A jesteśmy pod tym względem w czołówce w Europie. Ponad milion osób wyjechało za granicę. Gdyby nagle wróciły, bezrobocie przekroczyłoby 20%!

Nie mamy wielkiego wpływu na działania polityków. Na przykład na to, że w trakcie kadencji sejmu posłowie zmieniają dowolnie partyjną przynależność.

Hasło, jakiego Mill w tym kontekście używał, brzmiało „zgniłe pomarańcze”. Jeśli pozostawia się w parlamencie prawo do tego, żeby posłowie zmieniali afiliację polityczną, mogą powstać sztuczne większości – spiski, nieformalne partie, niezarejestrowane, nieznanne, zajmujące się swoimi sprawami. To są „zgniłe pomarańcze”. Mill przestrzegał, że nie da się ubezpieczyć przed ich inwazją przez odwołanie się do referendum albo przez rządy bezpośrednie. To jest naiwność. Celem, który powinniśmy sobie postawić, jest konstruowanie partii w oparciu o wspólny program wyborczy i wspólne zainteresowania, z prawem szukania swoich zwolenników wszędzie, na terenie całego kraju, a nie tylko w wyznaczonych okręgach wyborczych. Przy czym wyborcy powinni mieć prawo do odwoływania osób, które wytypowali jako swoich przedstawicieli. Mill postulował też, żeby ludzie, którzy

Utylityzm: jaka teoria?

popierają konkretnego posła, sami mu wypłacali pensję. Jeśli ktoś za tę pensję nie chce pracować, niech zrezygnuje, znajdzie się być może ktoś inny. Gdy ktoś idzie do polityki, spodziewając się tego, że znajdzie tam wysokie zarobki, to według Milla przyczynia się do tworzenia ugrupowań o charakterze „zgnilej pomarańczy”.

Widzę, że bardzo się panu ta koncepcja podoba. Jest ponętna, ale czy realna?

Nie jest ponętna. Jest wspaniała. Zastrzeżenie do niej jest tylko jedno: bardzo trudno byłoby tego rodzaju warunki wywalczyć.

Omówiliśmy zalety utylityzmu w polityce.

Dlaczego – według Pana – to koszmarna teoria w filozofii moralnej?

Zakłada, że wszyscy jesteśmy sobie wzajem równie obcy i wobec wszystkich mamy dokładnie ten sam rodzaj zobowiązań. Nawet kiedy mam dzieci, powinienem pomyśleć, czy gdzieś w sąsiedztwie nie ma dzieci gorzej odżywionych i gorzej ubranych od moich. Jeśli im dam pieniądze, a nie wydam na potrzeby moich dzieci, to suma szczęścia w świecie minimalnie wzrośnie, a wobec tego jest to mój obowiązek. To jest nieprzekonujące. I prowadzi do zupełnie absurdalnych konsekwencji. Herbert Spencer zaproponował pewien sylogizm. Jeżeli przyjmemy, że podstawowym obowiązkiem moralnym jest maksymalizacja średniej szczęścia na świecie, to można to osiągnąć na dwa sposoby: albo przez intensyfikowanie szczęścia jednostek, albo przez powiększenie liczby ludności przy zachowaniu średniej. Ponieważ podniesienie szczęścia poszczególnych jednostek jest trudne, a spowodowanie przeludnienia łatwe, to utylityzm dąży do tego, żebyśmy przeludnili świat do poziomu, w którym suma szczęścia jest najwyższa. I dopiero, kiedy naddatek ludności spowoduje, że średnia zacznie spadać, powinniśmy zacząć ograniczać przyrost naturalny. To pokazuje, że utylityzm jest teorią bezsensowną. Na ten temat pisali także Orwell w „Roku 1984” i Huxley w „Nowym, wspaniałym świecie”. Mówili, że są ludzie, którzy forsują pewien ideał spełniający jakieś dziwne kryteria maksymalizacji pewnego parametru, ale na tym parametrze nikomu nie zależy. Mnie kompletnie nie zależy na tym, żeby cały świat był najbardziej szczęśliwy i nie przyjmę argumentu zatwardziałego utylitysty, że jestem środowiskowo egoistyczny. Cóż, ja po prostu sądzę, że możliwości globalnego działania są

znacznie ograniczone. Istnieją pewne problemy, które powinny być rozwiązywane w skali globalnej: ocieplenie, zatrucie powietrza, eksploatacja surowców naturalnych itd. Natomiast realizacja rozwiązania problemów, do których dążą poszczególni ludzie, to jest zadanie, które się spełnia tylko w wąskiej społeczności.

Sądzę wobec tego, że utylityzm odwraca priorytety. Skłania nas słusznie do tego, żebyśmy robili rzeczy pozytywne dla możliwie największej liczby jednostek, niepotrzebnie jednak mówi, że jest to nasz pierwszy i najważniejszy obowiązek. Następna rzecz, która w utylityzmie wydaje się bardzo nieprzekonująca, to jest niemożliwość odpowiedzi na pytanie, co różni ludzi będą traktowali jako użyteczność. I tu przechodzimy do kwestii, o którą pani mnie pytała, mianowicie jaka jest definicja użyteczności. Nie można jej dać. Każdy, kto chciałby mieć jedną definicję użyteczności, ośmieszalby i wypaczał utylityzm. Bo sens utylityzmu polega właśnie na tym, że osoby zainteresowane same będą decydowały, co jest dla nich użyteczne.

Utylityzm wiąże się więc się z liberalizmem.

Najlepiej wyraża to zasada, że każdy jest najlepszym sędzią w swoich własnych sprawach. Widzimy jednak, że ludzie mało kompetentni, niemający doświadczenia, uwiedzeni przez rozmaite zasady religijne albo polityczne programy ściągają sobie na głowę nieszczęścia. Musimy pamiętać, że w roku 1933 Niemcy w powszechnych wyborach wybrali NSDAP. Rząd, który przyniósł nieszczęście, wojnę i olbrzymie zniszczenia. Wiele innych społeczeństw popełnia podobne błędy. Co na to można powiedzieć? Można tylko nawoływać o przyjęcie takiego systemu wyborów, o jakich mówił J.S. Mill, o niezamykanie oczu na największe trudności, największe problemy, przed którymi stajemy. A u nas niedawno 30% młodych ludzi okazało poparcie dla przywódcy Kongresu Nowej Prawicy Janusza Korwin-Mikkego.

I co tym ludziom powiedzieć?

Dyskretnie i delikatnie trzeba im uświadomić, że mają ten problem nieprzemyślany. Nie istnieje ani jeden tekst, w którym propozycja Korwin-Mikkego byłaby przedstawiona w sposób kompletny, wyraźny i dający się dyskutować. Czy jest krańcowym rygorystą i konserwatystą, czy jest krańcowym libertarianem, który pozwala wszystkim na wszystko i uważa, że nie istnieją żadne obowiązujące zasady? W zależności od kontekstu skacze od jednego radykalnego



fot. J. Ostrowski

stanowiska do drugiego. Jego młodzi zwolennicy nie zdają sobie sprawy z konsekwencji jego propozycji. Być może skończyłoby się to tak, że powstałaby tutaj garstka bardzo pewnych siebie agresywnych i ekspansywnych kapitalistów, którzy walczyliby lub nie między sobą, a cała reszta ludzi zostałaby sprowadzona do funkcji proletariatu ciężko pracującego na swoje utrzymanie. Przy tym nie byłoby zasiłków dla bezrobotnych, a znalezienie pracy byłoby niemal niewykonalne. To w gruncie rzeczy jest przepis na wojnę domową. To, że tracimy 30% głosów wśród młodych ludzi na program, który nawiasem mówiąc, jest w praktyce niewykonalny, jest moim zdaniem tragedią polityczną. Ci ludzie sami się spychają na margines, skazując na brak wpływu na życie polityczne.

Są to przecież w większości ludzie wykształceni. Czy fakt, że coraz więcej osób kończy w Polsce studia, gwarantuje w takim razie, że będziemy mieli bardziej oświecone społeczeństwo?

Odpowiem, ale musi mi pani pozwolić na to, że będę mówił rzeczy mało odpowiedzialne, bo nie mam zdolności proroczych. Moim zdaniem istnieje nieświadomy spisek przeciwko młodym ludziom. Osoby w moim wieku, które jeszcze nie wyleciały z pracy, niechętnie zostawiają swoje miejsca nowym generacjom. Ludzie w wieku średnim są często zadowoleni z tego, co mają i nie dbają o to, że na ich miejsce powinni przychodzić następcy. To powoduje pewien rodzaj niechęci międzypokoleniowej i akcentowanie

swojego odróżnienia w stosunku do poprzedniej generacji, czego efektem jest moim zdaniem właśnie sprawa Korwin-Mikkego. Ale istnieje pewna tajemna, nieznana wielkość krytyczna. Kiedy zostanie ona przekroczona, to nagle ludzie dobrze wykształceni, umiejący dobrze zadbać o swój interes, mający wysokie ambicje, znaczny talent i zainteresowanie realizowaniem wyższych wartości, będą na nowo kupowali książki i chodzili do teatru czy opery. Poprawi się poziom dyskusji w telewizji i w prasie i jednocześnie poprawi się nasz system polityczny. Jakies elementy teorii Milla zostaną wprowadzone w życie. Będziemy bardziej krytyczni, bardziej wymagający w stosunku do naszych reprezentantów politycznych, śmiaiej zażądamy, żeby nieudolnych odwołać.

Ale czy nie będziemy mieli więcej oświeconych związanych głównie z prawicą nacjonalistyczno-katolicką? To, co teraz się dzieje, nie nastraja optymistycznie.

Wszystko zależy od tego, czy potrafimy zbudować dobrze funkcjonujący system demokratyczny wspierany przez większość. To jest najsilniejsza broń przeciwko prawicy. A w połączeniu z poprawieniem jakości wykształcenia jest najlepszą przeciwwagą dla wąskich programów nacjonalistycznych i prawicowych, które chciałyby autorytarnie narzucać pewnego rodzaju rozwiązania w skali społecznej. Należy przeciwdziałać, bronić się, ale gwarancji nie ma nigdy. ■

Rozmawiała Anna Zawadzka

Mill postulował, żeby ludzie, którzy popierają konkretnego posła, sami mu wypłacali pensję. Jeśli ktoś za tę pensję nie chce pracować, niech zrezygnuje, znajdzie się być może ktoś inny. Gdy ktoś idzie do polityki, spodziewając się tego, że znajdzie tam wysokie zarobki, to według Milla przyczynia się do tworzenia ugrupowań o charakterze „zgniłej pomarańczy”
Na zdjęciu: budynek Sejmu RP w Warszawie, lipiec 2014